ROZMAITOŚCI.

Dnia 12. Lipca. N^er^ 28. Roku 1854.

ZŁOTY KLUCZYK

z francuzkiego, P. Oktawa Feuillet.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 25. 26. 27. Rozmaitości.)

List V.

Le Chesny 27. Lipca.

Dzięki Bogu! moje siano już zwiezione. Rozumié się siano z mego opróżnionego folwarku, inne bowiem nieobchodzi mnie. A co za siano, kochany kolego! woniejące jak balsam. Soulouque, który się zna na tém, ani słyszéć chce o innném sianie jak o mojém. Filut z niego!... Dolną łąkę nad potokiem skosiliśmy na ostatku. Dwie zaś inne... dość że siano zwiezione, kochany bracie... czegoż chcesz więcéj?

Moje dwa młyny idą tak pięknie i tak dobrze, że dalibóg, każę stawiać trzeci.

Tyle co do spraw zewnętrznych. W domu piszę nieraz do późnéj nocy. Klasyfikuję, kolacyonuję, reasumuję i wciągam powoli w ogromny rejestr in folio, esencyę tych szpargałów które mi powierzyła Zuzanna. W tém zajęciu i w mojéj samotności, przychodzą mi nieraz do głowy myśli, które mnie samego zastanawiają. — Przekonywam się że próżniactwo i bezczynność nietylko jest złem wyrachowaniem egoizmu, ale jest także poniżeniem godności człowieka. Życie zupełnie samoistne jakiém było moje, egzystencya która się odosabnia i w sobie zamyka, niepodając w niczém ręki do poparcia według sił ogólnego dobra, jest egzystencyą przeciwną prawom natury: ziemia gdyby była sprawiedliwą, wyrzuciłaby ją z swéj powierzchni niedając jéj nawet miejsca na grób. — Wierzaj mi że z niemałém upokorzeniem przypatruję się bezczynnie walkom, w których się mozolnie szamoce wiek nasz i nasza ojczyzna: ale cóż począć? gdzież jest prawdziwe niebezpieczeństwo, na którą stronę przechyla się świat? Ah! gdyby jaka wiara, jakie przekonanie wywiązało się z méj myśli teraz już stateczniejszéj, a druga połowa mego życia mogłaby jeszcze naprawić piérwszą. — Nim jednak to nastąpi, sumienie moje będzie spokojniejsze jeżeli mojém staraniem w tym zakącie wyrośnie o jeden kłos więcéj, chociażby miał żywić tylko ptactwo powietrzne.

— A Zuzanna? — Alboż ja wiem. Sposób jéj życia niezmienił się w niczém. Pomimo zaciętych ataków trzech muszkieterów, niemam powodu do niepokoju, bo atakują zawsze wszyscy trzéj razem. Uważam wprawdzie rano i wieczór niewyjaśnione wycieczki w towarzystwie podejźrzanéj Jeanetty; ale stara bielizna i małe nowe kaftaniki, które z sobą zabiérają w zawiniątkach, nadają niewinny pozór tym romantycznym wyprawom.

Wczoraj wieczór około ósméj godziny mieliśmy tu okropną burzę. Jest-to właśnie godzina, w któréj nas nawiédzać zwykli goście z sąsiedztwa, dotychczas bowiem niepowtórzyło się jeszcze smutne tête-à-tête naszego piérwszego wieczora. Bądź z przypadku, bądź z dyplomatycznie obmyślanéj kombinacyi, mamy co dzień towarzystwo u siebie albo u jakiéj przyjaciółki. — Tym razem jednak, gwałtowna burza skazała nas na zamknięcie się w domu i na samotność. Tą myślą była zapewne zajęta Zuzanna, która oparta o okno bębniła na szybach jakiś marsz niewydany, podczas gdym ja przewracał kartki imionnika, które dzięki Bogu wszystkie były białe. — Przyniesiono lampy. Zuzanna odeszła od okna i usiadłszy poważnie w fotelu, zaczęła swą robotę. Na to ja powstałem i zwolna stopniowo zbliżałem się do drzwi, wąchając kwiaty po wazonach stojących w drodze, ażeby ucieczce mojéj dać pozór zaszczytnego odwrotu.

— Jeżeli pan chcesz pracować w budoarze, rzekła Zuzanna powstając na pół z miejsca, to jabym mogła bardzo wygodnie siedziéć u siebie na górze.

— Jeżeli koniecznie potrzeba, ażeby jedno z nas wydaliło się na górę, to pozwól pani ażebym ja udał się na to wygnanie.

— Ja tylko chcę powiedziéć, że są ludzie, co nie mogą pracować... pisać w towarzystwie.

Odpowiedziałem stosownie i po kilku grzecznych wyrazach, kazałem znieść na dół mój rejestr; rozłożyłem go na stole i usiadłem naprzeciw fotelu Zuzanny. — Cóż ty na to, kochany Jérzy!

Tymczasem burza nieustawała, mury drżały od grzmotów: wiatr bił nawałnicą o szyby. Za każdém uderzeniem grzmotu, ile razy wicher silniéj zawył, podnosiliśmy równocześnie głowę, patrząc na siebie z uśmiechem wyrazistym co to mówi: Oho! to nieżarty.

Potrzebowała niewiem czego, co zapomniała na sofie stojącéj w drugim końcu salonu. Powracając na swoje miejsce, zatrzymała się chwilkę za mojém krzesłem, i uczułem że się lekko pochyliła nademną jak gałązka uginająca się pod kwiatem. Na szczęście mój rejestr był właśnie otwarty w najlepiéj uporządkowaném miejscu. Ucieszyłem się ogromnie!

Chwile ubiegały. Wnet pytałem ją o ostateczne przeznaczenie kawałka materyi, którą wygładzała swym malutkim naparstkiem, to znowu ona wypytywała się mnie o żniwa lub o jaką ulubioną jałówkę; potem przeszliśmy do głębokiéj dyskusyi nad jeniuszem Meyerbeera w porównaniu z Rossinim, a ztąd na

teoryę ściągania piorunów zapomocą konduktora.

Jak-to się zdarza, mówiliśmy do siebie tylko ażeby uzyskać prawo milczenia. Odkąd milczenie przestało nam zawadzać, przestaliśmy rozmawiać. Znużony zachodem około gospodarstwa niemogłem jakoś wziąć się szczérze do mojéj oschłéj roboty; woń kwiatów wywiérała na mnie wpływ prawie usypiający, do czego się jeszcze przyczyniała burza srożąca się na dworze. Doznawałem uczucia człowieka zasypiającego na posłaniu z woniejących ziół. Popadłem w rodzaj półsennego marzenia. — Podniosłem ociężałe powieki, spojźrzałem na Zuzannę: z całą gorliwością wynagradzała czas stracony. Zaledwie rozeznawałem w cieniu piękne zarysy jéj szyi, lekko zagiętéj jak u łabędzia, który się nurza; ale światło lampy oświécało jéj nachylone czoło i odbijając się jak w zwierciedle na jéj włosach, rozsiewało na jéj głowie jasne gwiazdeczki; jéj oczy zwrócone były na poruszenia igły, tak że dostrzegałem tylko rzęsy ściśnięte jak muszle perły na pół otwartéj. Ta poważna i dziewicza postać pełna rezygnacyi i swobody, wyrażała z niewymownym wdziękiem wszystkie obowiązki i wszystkie rozkosze pożycia domowego, przenikała wszystko wkoło siebie tchnieniem cnoty, swobody i spokoju. — Kto jeszcze posiada swą duszę, i po trudach dziennych znajduje wiernie podobny obraz pod swoją strzechą, na cóż jeszcze użalać się może?... Ten błogi obraz życia domowego uzupełniał się w dziwny sposób w mojéj gorączkowéj wyobraźni. Zdawało mi się że widzę dwie postacie pełne wdzięku i cudownéj urody przesuwające się na przemian między nami i tworzące ogniwa łańcucha łączącego nasze serca.... Jeżeli istnieje coś podobnego do szczęścia na ziemi, tedy niém było to widzenie. Jeżeli Bóg użycza już na téj ziemi nagrody po trudach, pociechy w nieszczęściu, tedy na własne oczy widziałem jedno i drugie.

Niejest-że to dziwném, kochany Jérzy, że w młodości naszéj zapoznajemy tak uporczywie, prawdziwe zasady życia, chociaż się nam przedstawiają w świetle tak pojedyńczém, tak naturalném, tak jasném? Bardziéj niż każdy inny opierałem się temu światłu; jestem za to ukarany. Nieszczęściem i karą tych którzy na złéj drodze uganiali za fałszywym ideałem, jest, że niemogą wejść już na prawdziwą drogę, nawet wtedy gdy ją widzą przed sobą. Serce ich żywiło się tak długo ognistemi marzeniami, że nieznajdują już smaku w prawdzie. Jest-to owoc zbyt zdrowy dla ich ust spalonych. Umiérają jak stary Mojżesz mając przed oczyma cudowną krainę, któréj w błędzie szukali na puszczy. Kilkakrotnie Zuzanna zdziwiona mojém uporczywém milczeniem, spoglądała na mnie ukradkiem. Oczy jéj spotykały się zawsze z mojemi, ale zaraz je odwracała. — To chorowite marzenie, te myśli znużyły mnie. Godzina była późna; wstałem z miejsca. Zuzanna powstała w téj saméj chwili. Zbliżyłem się do niéj; ująłem ją za rękę, czułem jak drżała, ucałowałem ją w czoło. — Potem

odszedłem niemówiąc ani słowa, jak człowiek zostający pod wpływem magicznego uroku, którego niemoże lub nieśmie rozprószyć.

Nic pewniejszego jak to, że mnie te kwiaty musiały zaszkodzić, to cała rzecz. Żegnam cię przyjacielu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Aj gdyby żony wiedziały!

Krotofila w 1. akcie wierszem,

przez

Ksawerego Godebskiego.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 23. 24. 25. 26. 27. Rozmaitości.)

Scena 19.

Ludmiła — Janusz *(klęczący.)*

Janusz *(na stronie.)*

Moja żona!

Ludmiła *(z największą słodyczą.)*

Januszu, cóż tu robisz proszę?

Janusz.

Kto — ja? — przyszedłem — świeżém odetchnąć
(powietrzem...
Nie uwierzysz, kochanko, — jak duszno w kwa-
(térze...

Ludmiła.

Myślałam, że wieczorne odmawiasz pacierze
I to jeszcze klęczący — i z takim zapałem?

Janusz *(zrywając się.)*

Klęczący — mówisz duszko?.. Alboż ja klę-
(czałem?

Ludmiła.

Tak się zdaje.

Janusz.

Nie pomnę.

Ludmiła.

U nóg jakiejś damy,
Która, widząc mnie, znikła.

Janusz.

Zaprzeczać daremnie —
Musi być, gdy tak mówisz.

Ludmiła.

Dowodów nie mamy:
Mogę się mylić, duszko.

Janusz *(na stronie.)*

Duszko? — Chce drwić ze mnie.

Ludmiła.

Wszyscy zbłądzić możemy — niech cię to nie
(dziwi:
I gdybyśmy nie byli wzajem pobłażliwi...

Janusz *(na stronie.)*

Jaka słodycz!

Ludmiła.

Trzebaby wyrzec się nazawsze
Błogiego i cichego pożycia słodyczy
Która szczęściu dobranych małżeństw prze-
(wodniczy.

Janusz *(na stronie.)*

Względy wyrozumiałe, i coraz łaskawsze!..
Nie podobna uwierzyć w tak nagłe przemiany.
(głośno.)
Cóż mogło spowodować przyjazd niespodziany?

Ludmiła.

Dowiesz się o tém zaraz — lecz powiedz mi
(wprzódy
Czemu się mieszasz? — trwogą udręczasz ta-
(jemną?
W czémże moja obecność stawia ci przeszkody?
Co ta tu piękna dama do czynienia miała...?
Nie lękaj się Januszu — mów otwarcie ze mną:
Wszakże wiesz, żem rozsądna i wyrozumiała.—

Janusz *(na stronie.)*

Dalibóg! przyjdzie zgłupieć!
(głośno.)
Słuchaj mnie, Ludmiło!
Nie chcę być w szlachetności zwalczonym przez
(ciebie:
Posłuchaj mnie cierpliwie—powiem ci jak było—
Powiem ci całą prawdę — jak jeden Bóg w niebie.
Zdrada moja jest jawną — nic jéj nie osłania:
Wciągniony złym przykładem rozpustnéj mło-
(dzieży,
Zapomniałem, w nieszczęsnéj obłąkania chwili,
Że cała moja miłość do ciebie należy...

Gniewaj się, złorzecz, ukarz w jakim chcesz (sposobie,
Zasłużyłem na wszystko... stoję zawstydzony:
Sprawiedliwą to będzie zbrodni méj zapłatą.
(na stronie.)
Teraz pewno wybuchnie.

Ludmiła *(jak najłagodniéj.)*
Ja złorzeczyć tobie?
Ja, gniewać się Januszu... gdy sama z méj (strony...

Janusz *(z przestrachem.)*
Co ja słyszę?

Ludmiła.
Posłuchaj — wyznam wszystko szczérze.

Janusz.
Przebóg!

Ludmiła.
Jeżeli znajdę dość odwagi na to
I jeśli dość cierpliwym zechcesz być w téj (mierze.

Janusz *(z największą niespokojnością.)*
Mów! mów! jestem spokojny...
(na stronie.)
Nie wiem co mi powie,
Ale po całém ciele przechodzi mnie mrówie.

Ludmiła.
Niestety!

Janusz.
I cóż?

Ludmiła.
Otóż...

Scena 20.

Ludmiła — Janusz — Pani Bargeld — *(późniéj)* Celina.

Pani **Bargeld** *(zanosząc się od płaczu.)*
Ah! ah! niedźwiedzisko!
Żeby też — ah! ah! sfolgował choć trocha...
Jak się — ah! ah! przyczepił, od kwadransa (blisko...

Ludmiła.
Czegoż ta znowu tak nieznośnie szlocha?
Cóż ci się stało?

Pani **Bargeld.**
To mi się podoba:
Co mi się stało? — zabawne pytanie...
Któż temu winien, jeżeli nie panie...
To jest pan Rotmistrz... a może też oba...

Janusz.
Któż co zrozumie w takiéj gwatwaninie?

Pani **Bargeld.**
Mówiłam panu że mnie to nie minie,
Kiedyś tutaj z pisania oświadczył się chętką...
Mój mąż ma bystre oko — a rękę tak prędką!..
Ani popuści, jak uchwyci w kleszcze..

Ludmiła.
Jakto, śmiałżeby...

Pani **Bargeld.**
Ah! śmiał — i jak jeszcze!

Ludmiła.
Co za ohyda!

Pani **Bargeld.**
Prawda że ohyda
Narażać biédną kobiétę
Na przykrości rozmaite.
Prędzéj czy późniéj złe zawsze się wyda.
Ja też od razu miałam podejźrzenia:
Naprzód, kto swoje nazwisko odmienia,
Już nieczysty interes...
(Tu Celina ukazuje się we drzwiach swojego pokoju.)

Janusz.
Jak na mękach plecie.
(do Ludmiły.)
Wytłumaczę ci wszystko — rzecz najprostsza (w świecie,
Choć na pozór zawikłana.
Chcąc ukryć moją niewiarę,
Przybrałem na godzin parę
Imię kolegi Romana:
I on też przed swoją damą
Wpadł widać na myśl tę samą.

Celina *(na stronie.)*
To był Roman!

Ludmiła *(na stronie.)*
O szczęście!

Celina *(na stronie.)*
Wszystko się odkryło:
Biegnę szukać Romana. —
(znika.)

Janusz.
Widzisz więc Ludmiło.
Żem tu moje z umysłu tak ukrywał psoty,
Abyś odkrywszy próżnéj nie miała zgryzoty.

Ludmiła.
Co za delikatność!

(do Pani Bargeld.)

Otrzyj łzy niebogo:
Nie chcę byś cudzą winę płaciła tak drogo:
Zatrzymam twego męża w gniewliwym zapędzie;
Pomówię z nim, oświécę...

Pani **Bargeld** *(z żywością.)*

Że gbur, że jest w błędzie;
Że wszystko co się stało, było przyzwoicie...

Ludmiła.

Nie zapomnę o niczém—Idź, idź, moje dziécię..

Pani **Bargeld.**

I cóż mam robić? idę, choć z niemałym wstrę-
(tem.

(ociągając się.)

Jeśli Pani masz zwlekać, to zaczekać wolę.

Ludmiła.

Idź śmiało!

(Pani Bargeld wychodzi.)

Ludmiła (*na stronie.*)

Oj! zapłacisz mi teraz z procentem
I moją niespokojność i twoje swawole. —

Scena 21.

Janusz — Ludmiła.

Janusz *(przymilając się.)*

Jesteśmy sami duszko — nim znów co zaskoczy,
Cóżeś-to miała...

(chce ją ująć za rękę.)

Ludmiła *(wydzierając rękę z gniewem.)*

Proszę nie zbliżać się do mnie!

Janusz *(na stronie.)*

Wiatr się zmienił.

(głośno.)

Przed chwilą... tak słodko, tak skromnie...

Ludmiła.

Nie wiem jak Wacan jeszcze śmiesz mi spoj-
(źrzéć w oczy?

Janusz *(coraz nieśmielszy.)*

Zgadnąć nie mogę celu téj gwałtownéj zmiany...
Miałaś mi coś powiedziéć... cóż cię zbiło z toru?

Ludmiła.

Miałam panu powiedziéć, żeś mi dobrze znany;
Żeś jest człowiek bez wstydu, człowiek bez ho-
(noru,
Rozpustnik, uwodziciel, zdrajca, przeniewierca,
Nie wart mego szacunku, nie wart mego serca.
Chciałam z ust jego własnych dobyć prawdę całą,
A teraz gdy sam swoją chełpisz się zakałą,
Gdy już wątpić nie mogę — uczuć mych nie
(tłumię
I w obrażonéj mojéj zamykam się dumie.

Janusz *(na stronie.)*

Wiedziałem, że wybuchnie.

Ludmiła.

Między mną a Panem
Nie ma już nic wspólnego — wszystko już zer-
(waném,
Jak gdybyśmy się nigdy a nigdy nie znali.
Powracam do Warszawy — Pan tutaj brnij daléj!

Janusz.

Ależ moja Ludmisiu...

Ludmiła.

Kiedy sobie wspomnę
Jakeś Pan z wierną śmiał postąpić żoną:
Na jakie przez postępki jego wiarołomne,
Niebezpieczeństwa byłam narażoną.

Janusz (*tknięty.*)

Niebezpieczeństwa mówisz?—To stan rzeczy
(zmienia
I w téj mierze wymagać będę tłumaczenia.

Ludmiła.

Objaśnień Panu trzeba? miałam je dać właśnie;
Wprzód jednak najważniejszy przedmiot mu
(wyjaśnię:
Czy wiesz Pan kto jest owa nieznajoma dama,
Którą zbrodnicze jego gubiły zabiegi?

Janusz.

Mniejsza o to — przed wszystkiém, wytłumacz
(się sama.

Ludmiła.

Proszę słuchać cierpliwie — na wszystko czas
(będzie:
Gdyby-to była żona pańskiego kolegi;
Gdyby stłumiwszy skłonność, która go ośmiela..?

Janusz.

Znasz ją więc?

Ludmiła.

Wcześnie w swoim spostrzegła się błędzie,
I mężowi wykryła swego zwodziciela.

Janusz *(zmieszany.)*

Jakto?

Ludmiła.

Gdyby zdarzeniem najmniéj spodziewaném
Zdrajca zwał się Januszem zdradzony Romanem?

Janusz *(z żałośnym podziwem.)*
Roman?.. ah! cóżem zrobił! zbyt słuszne wyrzuty!

Ludmiła *(wpatrując się w Janusza — na stronie.)*
Poprawa będzie łatwa, bo grunt niezepsuty.

Janusz.
Wie wszystko, mówisz?

Ludmiła.
Wszystko — i odtąd jedynie —
Rozmyśla jak się zemścić — zemsty swéj dokona.

Janusz.
I słusznie — biédny Roman!.. zadość mu uczynię.
Diabliż mogli przewidzieć, że to jego żona.

Ludmiła *(na stronie.)*
Biegnę ostrzedz Celinę — uśmierzyć jéj trwogę:
Nastraszona przez męża wszystko mu wyplecie.
(głośno — skłoniwszy się z zimną grzecznością.)
Żegnam Pana.

Janusz.
Odchodzisz? — Wytłumacz mi przecie...

Ludmiła.
Precz! precz! Patrzéć na Pana bez zgrozy nie (mogę.
(wchodzi do pokoju Celiny.)

Janusz.
Moja droga Ludmisiu... gdzie tam! ani słucha...
Roman musi się wściekać — ta na wszystko (głucha
Wyszła zacięta w gniewie — nic jéj nie poruszy...
A te niebezpieczeństwa; o których mówiła..?
Chciałem uwieść Celinę — gdyby też Ludmiła..?
Trzeba przyznać — żem w błoto zabrnął aż po (uszy....
Cóż zrobię?.. Próżno tutaj z myślami się biedzę:
Rad nie rad muszę zadość uczynić koledze.
(spostrzegając wchodzącego Romana.)
On właśnie!
(usuwa się na bok zakłopotany.)

(Dokończenie nastąpi.)

L E N.

Z Andersena.

Pięknie len przykwitał; zaścielał błonie powłoczką z kwiatuszków drobniutkich niebieskawych i tak miecinchnych jak meszek u skrzydeł motylka, jeźli jeszcze nie miększe! Słońce mu przyświecało, deszcze go skrapiały; i tak mu dobrze z tém było, jak dziewczęciu umyć się i odnieść całuska od mamy; dziécię zawsze po całusku piękniejsze, i len także po deszczu piękniejszy.

„Mówią ludzie, że się bardzo pięknie udałem,“ prawi len głośno do siebie, „i że duży nrosłem; oh! będzie ze mnie dobry półsetek płótna. Juźcić jestem szczęśliwy! I jak jeszcze! Wiedzie mi się dobrze, niezawodnie doprowadzę do czegoś znacznego. A co teraz, tak mi dobrze i miło wygrzéwać się na słońcu, tak przyjemnie kąpać się w ciepłym deszczu a chłodniejszym się rzeźwić; istotnie mogę powiedziéć, żem szczęśliwy bez granic!“

„To, to, to!“ przerwie kół w płocie. „Nieznasz jeszcze kochanku świata — mnie się zapytaj, ja mam pełno sęków,“ i zaczął przemawiać przeraźliwie:
„Skrzyp — skrzyp,
potem frr — frr.“

„Nie prawda, nie frr, frr jeszcze,“ odrzekł len. „Jutro zejdzie słoneczko, deszczyk mnie pokropi. Czuję jak rosnę; patrz jak pięknie zakwitłem. O, jestem niewymownie szczęśliwy!“

Minął tydzień, może drugi; przyszli robotnicy, wzięli len za czubek i wyrywali z ziemi z korzeniem. Nie ma co mówić, boleść była nie mała. Potem spuszczono go do wody i przykryto ziemią, jakby go chciano utopić, dalej wsadzono w parzącą czeluść i wysuszono jak szczypę. Było-to już prawdziwą męczarnią.

„Cóż robić,“ pomyślał len, „nie zawsze szczęście płuży; czasem trzeba poznać się i z biédą, a kto jéj nie doznał, mało wie jeszcze o świecie!“

Jakoż przyszła istotnie wielka biéda na len; moczono go i suszono, łamano mędlicą i na ochlicy paczesowano — i Bóg raczy wiedziéć jakie jeszcze zbytki z nim wyrabiano. Wsadzono go zresztą na kądziel i wysnuto na wrzeciono: frr, frr! — Nie ma też i dziwu, że mu się myśli poplątały do reszty.

„Byłem szczęśliwy — i bardzo!“ pomyślał śród tych męczarni; słodko mi teraz wspomnąć o tém. Trzeba też coś przecierpiéć i z losem swoim pogodzić się! Tak, pogodzić się! pogodzić! O, trzeba się pogodzić, powtarzał jeszcze u tkacza na warsztacie, i zrobił się z niego piękny półsetek płótna.

„No, to przecież rzecz dziwna! Nigdybym temu był nie uwierzył! Jak widzę, zaczyna mi szczęście znów sprzyjać! Ten kół w płocie był jednak mędrzec ze swojém:
Skrzyp — skrzyp.

Tylko że na tém jeszcze nie koniec! Właściwie teraz dopiéro zaczyna się piosnka w najlepsze. A, to istotnie nie do uwierzenia! Prawda przecierpiałem nie jedno, lecz zato przyszedłem przecież do jakiegoś znaczenia! Trzeba przyznać, żem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy! Teraz jestem silny i dychtowny, białutki i ogromnie długi! To przecież lepiéj niż kiedym był jeszcze rośliną tylko; wprawdzie nosiłem piękne kwiatuszki, lecz nikt się zemną nie cackał, a wody do-

stawałem tylko podczas deszczu! Teraz się mną więcéj zajmują i dbają o mnie jak tylko być może; dziewka folwarczna co rana mnie przewraca, a co wieczór skrapiają mnie z wielkiéj konwi. Sama nawet pani posesorowa odwiedza mnie czasami, a niedawno rozgadała się o tém przed dziewkami, żem najlepsze płótno jakie było kiedy. Ah, jakże teraz jestem szczęśliwy!“

Przyszło wreszcie płótno do komory, a potem pod nożyce; krajano je i darto, pastwiono się nad niém igłami. Nie była to zapewne przyjemna igraszka, lecz wkońcu uszyto z płótna bieliznę, o jakiéj nie radzi wspominają, a bez któréj jednak niepodobna się obejść; bielizny téj było cały tuzin.

„No, no! Teraz dopiéro dobiłem się przynależnego mi stanowiska na świecie! A, więc takie było przeznaczenie moje?! Co za szczęście, co za radość dla mnie! Teraz przecież jestem światu pożyteczny, i to dopiéro prawdziwą może być pociechą! Jest nas cały tuzin, a wszystkie do siebie podobniusieńkie: proszę, cały tuzin! A, to szczęście rzadkie!“

Mijały lata — bielizna się dodzierała.

„Wszystko musi mieć swój koniec na świecie!“ pocieszała się każda para zosobna. „Trzymałyśmy się dość długo — dłużéj nam już niepodobna!“

Wkońcu zostały już strzępki tylko i szmaty. Sądziły więc, że już po wszystkiém, gdyż je siekano, moczono, zolono i różne dziwa z niemi wyprawiano— aż nareszcie wyszedł z nich papier czysty i biały.

„Co za niespodzianka, i jaka jeszcze! wykrzyknął papier. Teraz to dopiéro wybielałem i wypiękniałem, i będą pisać po mnie! Dziwne, dziwne rzeczy popiszą! Otóż-to dopiéro szczęście niesłychane!

Tą razą nie zawiódł się papier, gdyż popisano na niém najpiękniejsze powiastki i wierszyki, i jednego tylko żyda trudno było się ustrzedz; — jakoż należy to także policzyć do szczęścia, że ich więcéj nie było. Ludzie radzi czytali tę pisaninę, gdyż były tam rzeczy mądre i dobre, ludzie się z tego budowali i obrócili to na swój pożytek.

„Prawdziwie, i na myśl mi to wówczas nie przyszło, kiedym jeszcze był drobnym, blado-niebieskim kwiatuszkiem na polu! Trudno mi było i marzyć o tém, że kiedyś będę rozrywką dla ludzi i uczyć ich rozumu! Jakoż i teraz jeszcze tego wszystkiego nie pojmuję, lecz widzę na jawie co się zemną dzieje. Bogu to zresztą wiadomo, żem nic sam nie uczynił jak tylko to, na co słabe siły moje starczyły, i by tylko byt swój własny utrzymać; Bóg jednak łaskaw na mnie, i tym sposobem coraz mnie wyżéj wynosi i coraz to większych uciech przysparza! Ilekroć tylko sobie pomyślę:“ „No, teraz już zapewne wszystko się skończyło,“ „zawsze doznaję zmiany pomyślnéj, zmiany na lepsze. Teraz zapewne wyszlą mnie w podróż po całym świecie, i będą mnie wszyscy mieć w ręku. Inaczéj być nie może, i zapewne tak będzie! Tyle mam teraz pięknych i wzniosłych myśli, ile wprzód kwiatków niebieskich nosiłem! Tak jest, szczęście moje godne jest zazdrości!“

Papier ten jednak nie wysłano w podróż lecz do drukarni; gdzie manuskrypt wydrukowano nie w jednym lecz w kilkuset egzemplarzach, gdyż tym sposobem mogło wielu mieć ztąd większy pożytek i uciechę, niż gdyby sam tylko manuskrypt chodził po wszystkich ręku i sponiewierał się przed czasem.

„Nie ma co i mówić, tak będzie jeszcze najrozumniéj!“ pomyślał sobie papier popisany. „Szkoda, że mi piérw na myśl nie przyszło! Zostanę w domu i będą mnie szanować jakby sędziwego dziadunia swego, gdyż z tych wszystkich tu książek wyglądam najstarzéj. Teraz już będzie jak należy! Tak bowiem jak jestem nie mogłem żadną miarą biegać po świecie! Ten co to pisał, patrzał na mnie długo i wytrwale, każde słowo spływało prosto z pióra na mnie! Większego szczęścia żądać już nie mogę!“

Po wydrukowaniu związano papier w plikę i wrzucono do kadki w komorze.

„Po pracy dobry spoczynek!“ rzekł na to papier. „Nic lepszego nad to, jak zebrać ducha swego i pomedytować trochę. Teraz dopiéro wiem co we mnie siedzi! Poznać siebie samego, na tém cała sztuka, i to tylko można nazwać prawdziwym postępem. Cóżby jeszcze mogło mnie czekać? Ha! trudno odgadnąć, pewny jednak jestem, że doprowadzę jeszcze do czegoś wyższego!“

I tak wyjęto pewnego dnia wszystek papier z bedni i wrzucono na ogień. Nie chciano bowiem manuskrypta wydawać w ręce przekupek do zawijania séra i masła, ani mydlarzom, ani nawet do sklepów korzennych na dutki do pieprzu. Wszystka w całym domu dziatwa zebrała się i spozierała ciekawie, gdyż rada była widzieć płomień buchający; a papier gorzał tak pięknie i iskry sypały się do koła jak małe gwiazdeczki. Jedna za drugą wzlatywała i gasła w okamgnieniu! Wielce to dziatwę bawiło; podrzyżniała się iskrom i wołała: „Teraz idą studenci ze szkoły;“ ostatnia iskra to pan profesor, co ostatni z klasy wychodzi. Lecz coraz to nowa wzlatywała iskra, więc znów dziatwa wołała: „O, o, znowu idzie pan profesor!“ Tak sobie dziatwa gwarzyła; myślała że już wie wiele na świecie, a przecież nic jeszcze nie znała. Wszystek papier zapisany, cały pęk szpargałów wrzucono na ogień, i zaraz spłonął płomieniem. „U-ha!“ wrzasnął papier w objęciach gorących. „U-ha..!“ Parno mu było, to prawda. Lecz za to buchał wysoko płomieniem, i nigdy tak wysoko nie sięgały niebieskie kwiatuszki, kiedy to jeszcze był sobie papier lnem tylko, i nigdy białe płótno późniejsze tak się nie lśniło, jak ten płomień i te setne iskierki. Wszystkie literki pisane zarumieniły się na chwilę, i wszystkie słowa i myśli zginęły w płomieniach. „Teraz już lecę prosto ku słońcu!“ ozwał się głos z płomieni, i zdawało się, jakoby tysiąc głosów powtarzało to samo. Tymczasem wzleciał płomień długim mieczem ognistym po-nad komin. — I subtelniejsze jeszcze od płomienia, niedojżrzane okiem ludzkiém drobniuchne istoty wzlatywały w powietrzu, i było ich tyle, ile len miał kwiatuszków. Były jeszcze lżejsze niż płomień, ich rodzic; a gdy już płomień zagasł i z papieru pozostała tylko przygarść popiołu i pyłu, zadrgnęły jeszcze po-nad popiołem, i gdzie tylko się go dotknęły, tam się posypały i iskry. „Dziatwa wyroiła się ze szkoły, a za nią szedł profesor— ostatni!“ Jaka-to była rozrywka, co za radość! a dziatwa nuciła sobie nad martwym popiołem:

Frr! frr!“

Lecz drobniuchne, niewidzialne istoty zawołały jednogłośnie: „O nie koniec jeszcze na tém! Będzie coś jeszcze piękniejszego, lepszego. O, wiem to wiem doskonale, i dlatego jestem nad wszelki wyraz szczęśliwy!“

Dziatwa jednak tego ani dosłyszała, ani pojąć mogła, i nie dla niéj też taka wiadomość; bo dla dzieci wiele jest i wiele być musi rzeczy ukrytych.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*